

## Migawki zza kulis

### czyli Chór Kameralny WIL

#### podczas Jesiennych Spotkań Chóralnych w Pradze w listopadzie 2016

##### Godzina zero

Kolejną przygodę czas zacząć! W mroźny listopadowy ranek stoimy przy ul. Noskowskiego, w naszym stałym „punkcie wyjazdowym”, przytupując z zimna, witając wyłaniających się z taksówek kolejnych chórzystów i żywo rozprawiając o czekającym nas czterodniowym wyjeździe. W oczekiwaniu na autobus porównujemy nasze bagaże, z podziwem patrząc zarówno na kolegów (i koleżanki), którzy ekwipunek koncertowy i rzeczy osobiste zdołali kompaktowo zapakować do toreb rozmiarami odpowiadających średniej wielkości damskim torebkom, jak i na tych, których walizki i liczne pakunki dodatkowe pozwalają domniemywać, że ich właściciele są nie tylko przygotowani na absolutnie każdą ewentualność pogodową, ale wręcz na wycieczkę dookoła świata. Wreszcie nadjeżdża nasz ulubiony kierowca – Pan Marek – i wszystkie sakwojaże, paczki i paczuszki, a także - co najważniejsze – pokrowce z koncertowymi strojami oraz instrumenty lądują bezpiecznie w luku bagażowym. Podczas pierwszych kilometrów trasy odbywa się pospieszne sprawdzanie, czy aby nie zagubił się żaden spóźniony sopran, alt, tenor lub bas (bo oczywiście dyrygent zawsze jest na czas ;)). Pada sakramentalne pytanie: „Czy wszyscy panowie mają muszki?” – i po krótkim zamieszaniu związanym z faktem, że – niestety – nie wszyscy oraz z uratowaniem tej trudnej sytuacji przez przewidującą koleżankę, która ma kilka zapasowych, podróż może toczyć się dalej. Kolejne – również sakramentalne – pytanie: „Czy wszyscy mają nuty?” ginie wśród gwaru rozmów, dowcipów, szelestu papierków od cukierków i chrupania ciasteczek.

##### Chwila przed

Zaraz wychodzimy na scenę. Po obowiązkowym rozśpiewaniu następuje moment gorączkowego podniecenia. W salce o bardzo niewielkim metrażu trzydziestu chórzystów i chórzystek usiłuje szybko i sprawnie przebrać się w stroje koncertowe wzbogacone o dodatkowe elementy mające zapewnić komfort cieplny. Nauczeni często smutnym doświadczeniem wiemy, co znaczą zimowe koncerty, zwłaszcza w kościołach, i każdy (a raczej każda) z nas od dawna ma własne patenty na poradzenie sobie z kłopotem: jak założyć na występ ciepłe ubranie, które zmieści się pod strój galowy? Wśród pań w tym sezonie królują wysokie, obowiązkowo czarne kozaki, grube skarpety, polarowe rajstopy, ale absolutnym hitem jest narciarska bielizna termiczna. Uff, teraz już tylko makijaż i biżuteria. Dookoła wybuchy śmiechu, dźwięki powtarzanych fragmentów co trudniejszych utworów

przetykane uwagami: „Ćśś! Przecież nas słyszą na sali!”, „Teczki w lewej ręce!” lub czasem nieco rozpaczliwymi pytaniami: „Kolejność, jaka kolejność?”, „Wchodzimy od sopranów czy od altów?”

## Koncert

To już. Stoimy w praskich kościele pw. Św. Mikołaja, wodząc oczami po publiczności i słuchając konferansjera zapowiadającego nasz występ. Jesteśmy mile zaskoczeni, bo okazuje się, że na festiwalu w Pradze dba się o zdrowie uczestników – w świątyni jest względnie ciepło, a obecność dużych olejowych nagrzewnic powoduje nawet wśród panów pewnego rodzaju niezadowolenie – że ZA gorąco.

(Tu krótka dygresja. Podczas naszego ostatniego koncertu w niedzielę po południu w Zgorzelcu, po kilkunastu minutach śpiewu moje sine, zgrabiące palce ledwo dają radę przewracać nuty, z trudem usiłuję opanować dreszcze, zastanawiam się, kiedy odmówią mi posłuszeństwa moje kompletnie zdrętwiałe stopy i z utęsknieniem czekam na nasze ostatnie utwory takie, jak „The Lion Sleeps Tonight” czy „Siyahamba, podczas których mam na sobie dodatkową warstwę ubrania – strój afrykański – i mogę się rozgrzać, tańcząc i grając na patykach, jajeczkach czy innych pomysłach rodem z instrumentarium Orffa ).

Teraz wszyscy w skupieniu patrzymy na naszą dyrygentkę i przyjaciółkę Justynę Chełmińską, śledzimy każdy ruch jej rąk, słuchając siebie nawzajem i starając się zaprezentować słuchaczom piękno przygotowanych przez nas utworów, takich jak: „Wierzę”, „Sanctus” czy „Muzyka poranna”. W przerwach między śpiewaniem z nadzieją spoglądamy na twarze publiczności, szukając uśmiechów na twarzach a czasem łez wzruszenia. Trudno opisać uczucie, gdy czujemy, że nasze ulubione „Totus Tuus” wykonaliśmy dobrze, gdy zamknięciu ostatniego akordu przez Justynę następuje chwila, gdy wybrzmiewa on w powietrzu, przechodząc w moment magicznej ciszy, pełnej zachwytu. Potem ręce dyrygenta opadają – jest aplauz, tak, podobało się.

## Et caetera...

Często później, po powrocie do domu, wspominamy również te momenty „pomiędzy” – pomiędzy próbami i koncertami. Pamięta się wspólne rozmowy, partyjki kości, posiłki – zarówno te dość spartańskie w różnej klasy hotelach, jak i te wykwintne, w restauracjach, gdzie z chęcią dzielimy się otrzymanymi pysznościami. Na myśl przychodzą ciągle żywe wspomnienia o ekspresowym zwiedzaniu Pragi z przemiłym przewodnikiem Martinem, o gorączkowym przetrząsaniu autobusu w poszukiwaniu koncertowego obuwia jednego z kolegów (które niestety przepadło w akcji bezpowrotnie) czy o niezapomnianym wieczorze w głównym holu hotelowym, gdzie wzbudziliśmy konsternację a nawet szok wśród obsługi i innych gości, tańcząc w ciepłych paputkach przy dźwiękach „Macareny”,

wydobywających się z subtelnego kilkunastocentymetrowego głośniczka. Niech żyją wyjazdy chóralne! 😊

Lidia Ossowska